OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 24 Maja 1865 roku.

Nr 21. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

We wsi Królówce, należącéj wówczas do starostwa Lipnickiego, a położonéj w Galicji, w dzisiejszym obwodzie Bocheńskim, dnia 8 marca 1791 r. urodziło się dziecię płci mezkiéj, któremu na chrzcie świętym dano imię Kazimierz. Rodzicami tego dziecka byli: Jakób Brodziński, najprzód pełnomocnik starosty Fryderyka Moszyńskiego, a następnie dzierżawca starostwa Lipnickiego, i Franciszka z Radzikowskich Brodzińska. Młody Kazimierz nie pod szczęśliwą przyszedł na ten świat gwiazdą, a nad kolebką jego, czarne unosiły się wróżby i smutne dopełniały się wypadki. Długi czas słabowitemu dziecku, lekarze nie wróżyli zdrowia; a zaledwie pięciu lat dobiegło, umarła mu matka. Wypadek ten tak późniéj sam Kazimierz w *Wspomnieniach swojéj młodości* opowiada: „Matki mojéj wcale nie pamiętam; miałem pięć lat, gdy mię odumarła. Jedyna scena, którą z dziecinnych lat moich pamiętam, jest pogrzeb mojéj matki. Jéj postać w trumnie, aż do ubioru, do katafalku, na którym złożoną była i do pieśni, które nad jéj ciałem ubodzy przez 2 dni śpiewali, pamiętam jakby wczorajsze zdarzenie, równie jak przepowiednią księdza, który wtenczas do nas powiedział: „Dzieci! będzie was biła macocha!" Przepowiednie lekarskie późno, bo w 40 z górą lat, na Kazimierzu się spełniły, ale na spełnienie przepowiedni księdza, nie trzeba było czekać tak długo. Ojciec Kazimierza, człowiek staréj daty, gospodarz całą gębą, prawy, rzetelny, dla poddanych sprawiedliwy i dobry, ale nieposiadający wyższego wykształcenia i zbyt delikatnego uczucia, nie zastanawiający się zbyt skrupulatnie nad przyszłością swoich dzieci, a przy dużem gospodarstwie czujący potrzebę gospodyni, niedługo jakoś po śmierci pierwszéj żony, ożenił się powtórnie z ubogą, ale młodą i ładną, a jak się zdawało potulną i łagodną, jak anioł panienką. Ale niebawem po ślubie anioł pokazał rogi, i cichy dotąd dom starego Brodzińskiego, w piekło zamienił. Z czasem złe coraz bardziéj rosło. „W przeciągu kilkunastu lat—pisze znów Kazimierz o swéj macosze, w swoich *Wspomnieniach*, stała się postrachem nietylko domu, ale całéj wsi i okólnych sąsiadów. Pijaństwo, obok najgwałtowniejszych pasji; brak wszelkiéj znajomości świata, obok wielomówności, chciwość robienia majątku niegodziwemi sposoby, obok chęci okazałości, duma ze swego rodu, od którego była nienawidzoną, były to jeszcze lekkie jéj niedostatki. Perjody jéj wściekłości, które często nadchodziły, wystawiały obraz furji piekielnéj; nikt wtedy, winny czy niewinny, gość czy parobek, dzieci czy mąż, w żadnym zakątku domu nie był bezpiecznym. Umiała równie głosem, jak razami zagłuszyć. Sędziwy ojciec uchodził wtenczas w pole, śpiewając łacińskie psalmy, myśmy się pod niego tulili. Kryzys takową zakończało powszechne bolenie serca i pleura, w któréj krzyk na całą wieś się rozlegał. Plagi, bicie wieśniaków i służących, rzucanie sprzętów za ojcem, pakowanie rzeczy do pojazdów, w celu porzucenia go niby na zawsze, były to zwykłe dzienne i wieczorne zabawy." Można sobie wystawić, jak taka macocha obchodziła się z pasierbami; a było ich pięcioro: czterech chłopców i je-



(Rysował Gerson—wyciął na drzewie Krzyżanowski).

dno dziewczę, najstarsze. Z braci Kazimierza, znane nam są tylko losy i imię jednego Andrzeja, który dał się poznać piórem i szablą. Andrzej, starszy od Kazimierza, wcześniéj oddany do szkół, a następnie do Krakowa i Lwowa, nie tak długo doznawał macoszynéj ręki. Córkę, stary Brodziński wcześnie odesłał z domu do krewnych. Kazimierzowi dostało się najdłużéj używać rozkoszy rodzinnego pożycia. Szczęściem dla niego, macocha, byle jéj się dzieci nie nawijały na oczy, miała ten chwalebny zwyczaj, że nie zapytała się nawet, czy żyją i co się z niemi dzieje. Korzystając z tego Kazimierz, najprzód z braćmi, potem sam, całe dnie spędzał za domem: w polu, w lesie lub na wsi, gdzie bawił się z chłopakami wiejskiemi, i gdzie wiejskie kobiety, pamiętne dobroci nieboszczki matki, nieraz nakarmiły zgłodniałe po całych dniach sieroty. Ojciec, jak już powiedzieliśmy, człowiek poczciwy ale niezbyt czuły z przyrodzenia, sam chroniąc się o ile mógł przed piorunami, padającemi z ust i rąk młodéj żony, nie troszczył się też wiele o dzieci, a może nie widząc ich cały dzień i cieszył się, że uchodzą macoszynego oka. Pod taką to opieką, wśród takich stosunków i okoliczności, spłynęła pierwsza młodość Kazimierza. Wrodzone, żywe a tkliwe uczucie, w zetknięciu z ludem prostym, i pod wpływem żywéj przyrody, rozwinęło się w chłopcu bujnie, swobodnie—ale dziko. Ten pierwiastkowy kierunek, odbił się potem w całem jego życiu, i zarówno w pismach jak w czynach i codziennych stosunkach Kazimierza Brodzińskiego; obok tryskającego za każdem słowem, za każdym krokiem uczucia, widzimy prostotę ale zarazem i tę dziką nieśmiałość, cechującą zawsze człowieka, któremu młodość spłynęła zdala od towarzyskiego życia, którego polor, choć się z nim potem oswoi, sprawia na nim zawsze wrażenie pewnego rodzaju przestrachu i przymusu.

Jednym z głównych wpływów, pod któremi rozwijały się pierwiastkowo umysł i serce Kazimierza, była wygórowana miłość jego do matki, którą tem mocniéj kochał, że jéj nie znał, za któréj pieszczotami tęsknił całe życie, któréj postać, niby anioł stróż, unosiła się nad nim w pośród marzeń i snów dziecięcych, i późniéj w chwilach ciężkiéj walki z życiem i losem, nieraz zbolałą duszę jego, anielskiemi uspokojenia otulała skrzydły. Posłuchajmy znów, jak sam Brodziński pojmował i czuł tę miłość: „W późniejszych czasach służące i kobiety wiejskie, wiele mi o dobroci méj matki opowiadały, co najwięcéj słuchać lubiłem i im jedynie winienem to przywiązanie do niéj, z którem zdaje mi się dotąd, że żyję. W najsmutniejszych wypadkach późniejszéj młodości mojéj, zawsze się do niéj jako do patronki modliłem. Jéj postać umarła, którą jedynie pamiętam, zawsze mi pamiętne i pełne uszanowania czyni wrażenie... Miałem jeden sen o niéj, który żywem uczuciem mnie przejął. Byłem w wielkim kościele, gdzie ona na chórze, w ubiorze w jakim złożona była w trumnie, wśród tłumu podobnych jéj bladych niewiast, mnie ręką do siebie wzywała. Wnet znalazłem się na chórze, a uściski jéj dziwną upoiły mię rozkoszą, gdy nagle ogromny głos od ołtarza *Requiescat in pace*, który długo brzmiał w moich uszach, sen mój zakończył. W dziecinnym bardzo wieku napisałem elegją, do cieniów mojéj matki, któréj wcale nie pamiętam, ale wiem, że ją płacząc pisałem, i w nocy, na oknie, tylko przy świetle księżyca. Brat mój Andrzej, zawsze mi to pismo moje wychwalał. Nie wiem czy kto, choćby najtkliwszéj miłości macierzyńskiéj doznawał, mocniéj czuł co to jest matka. Imię matki od lat najmłodszych, było dla mnie świętem nazwiskiem. Widok moich współuczniów i późniéj młodzieńców przy matkach, napełniał mię rzewnem uczuciem. Nie mogłem się utulić ze smutku, który się cisnął w me serce, gdym widział lub słyszał wyrazy troskliwości i przywiązania macierzyńskiego. Nietylko dla matek, ale i dla współuczniów moich, których obok matek widziałem, miałem jakowyś dziwny rodzaj uszanowania. Uważałem synów mających matki, choćby daleko uboższych odemnie, za jakoweś wyższe, do szczęścia od natury przeznaczone istoty. Kochałem ich więcéj dla tego, że ich matki kochały. Wiele samotnych, nikomu nieznanych łez mię kosztowało, gdym widział dziecię od matki pocałowane. Może to było dziecinne, przesadzone uczucie, ale je pojmie ten, kto lat dojrzalszych doszedłszy, nie zna co to jest uścisk rodzicielski. Pragnąłem zawsze i mniemałem w sercu, że zasługuję na miłość u kogoś, ale do późnych lat żadnéj nie doświadczyłem. Nie mieć matki, która jedynie wychowanie serca dać może, nie mieć istoty, przed którą możnaby się szczerze ze wszystkiemi dziecinnemi fraszkami, z owemi pierwszemi uczuciami wywnętrzyć, to jest, co nam najwięcéj nadaje owo czucie w sobie samym się trawiące, ową nieśmiałość do ludzi, a najbardziéj niebaczność na swoje postępowanie, od dobrych nałogów, wrażeń i przykładów zacząwszy. Do dziś dnia czuję to w sobie, i gdybym dziś jeszcze znalazł taką istotę, ręczę, że powierzyłbym jéj wszystko jak dziecię, we wszystkiem byłbym jéj posłuszny. Do dziś dnia, nie czuję w tym względzie żadnéj męzkiéj wyższości i dojrzałego wieku. Każda kobieta tytułem matki ozdobna, ma odemnie jakąś część miłości synowskiéj. Zdaje mi się, że człowieka jest potrzebą, aby kochał swą matkę; że kto jéj niema, upatruje ją wszędzie i we wszystkiem chce ją sobie nagradzać. Do znanéj matki tęsknimy w całem życiu jak do ziemi, na któréj się życie nasze rozwijać zaczęło;—o nieznanéj marzymy, jak o raju lub o świecie obiecanym i nagradzamy ją sobie, tworząc o niéj jak najdoskonalsze wyobrażenia. „Nie miałem matki...” *Wspomnienia*, z których podajemy te wyjątki, pisał Brodziński na dwa lata przed śmiercią.

W siódmym mniéj więcéj roku życia, zaczęto Kazimierza posyłać do szkółki elementarnéj w miasteczku Lipnicy. Co to była za szkoła, można mieć ztąd wyobrażenie, że po czteroletnich w niéj studjach, jedenastoletni już chłopiec, zaledwie umiał trochę czytać i pisać po polsku i po niemiecku. Wyborny portret przewodnika téj szkoły i godnéj jego połowicy, kreśli Brodziński w *Wspomnieniach* swoich: „Miał włosy pudrowane, wystrzyżone zupełnie z przodu, ogromny warkocz i długie fryzowane loki, które mu uszy zasłaniały, co przy spiczastem czole, szczególną figurę czyniło, i różniło tego człowieka od wszystkich ludzi, jakich widziałem. Długa wyszywana kamizelka i surdut po kostki, z klapami przy boku, a od ogromnego warkocza cały w tyle zbielony, przy pedanckim i powolnym chodzie, jednał mu u nas dziwne uszanowanie. Ogromne oczy i wargi niezmiernie wypukłe, panowały przeważnie nad nosem szerokim. Żona jego mogła być śmierci wyobrażeniem; nosiła zawsze białą suknię, ze stanem jak najdłuższym, który jéj cienką figurę dziwnie wydatną czynił. Okropny był widok, gdy

często w dzień pogodny na progu siedząc, obcinała brzezinę, a długie rózgi w cebrzyk napełniony wodą składała.”

Po czterech latach takiéj nauki, posłał wreszcie ojciec Kazimierza do szkół do Tarnowa, gdzie było wówczas gimnazjum o 5-ciu klasach. Tam przebył ze dwa lata wraz z bratem Andrzejem, a gdy ten ukończywszy gimnazjum, udawał się na uniwersytet do Krakowa, posłano wraz z nim i Kazimierza. W Krakowie szło zrazu jakotako; ale niebawem nadeszła wiadomość o śmierci Brodzińskiego, a jednocześnie z nią ustały wszelkie zasiłki nadsyłane z domu. Chłopcy pozostali bez wszelkiego funduszu. Andrzej zaczął pisywać u adwokata i dzielił się z młodszym bratem zarobkiem, który atoli dla jednego nawet nie był wystarczającym. Widząc to Kazimierz i niechcąc bratu być ciężarem, postanowił cichaczem wynieść się z Krakowa, i niezważając co go spotkać może, udać się do macochy, co też rzeczywiście i wykonał. Macochy nie zastał już w Lipnicy; po śmierci męża, wyniosła się ona do Rajbroda, gdzie zadzierżawiła plebanię. Złamana widać i upokorzona utratą fortuny, która za życia Brodzińskiego zdawała się być, a nawet może i rzeczywiście była dość znaczną, ale któréj po śmierci jego, kobieta taka jak ona, bez przyjaciół, bez doradzców, nie zdołała uratować przed drapieżnością ludzi czyhających na podobne okazje, macocha przyjęła Kazimierza lepiéj niż się spodziewał. Nie zajęła się wprawdzie jego losem, ale nie wypchnęła go od siebie, i owszem dozwoliła mu przytułku u siebie, dopóki urzędownie ustanowiona opieka, cóś względem niego nie rozporządzi. Pobyt ten swój u macochy tak znów opisuje Kazimierz, w swoich *Wspomnieniach:*

(Dalszy ciąg nastąpi)

NEAPOL.

(WSPOMNIENIE Z PODRÓŻY PO OBCZYZNIE).

(Dalszy ciąg.—Obacz Nr. 19).

W celu uczynienia téj krzyczącéj niewłaściwości zadość, począłem chodzić koło księży i z bliska coraz bliżéj się im przypatrywać. Kiedy oni chodzili i ja nie opodal spacerowałem; kiedy gdzie usiedli, siadałem obok. Te manerwa spowodowały to, że usłyszałem czysto po polsku i dość głośno wymówione następujące zapytanie.

— Ciekawa rzecz, kiedy dadzą nam jeść?...

Wszak to nasi, nie Francuzi! powiedziałem sam do siebie i natychmiast odpowiedziałem:

— O siódméj, księże dobrodzieju, zadzwonią na obiad...

— A! panie dobrodzieju!..— zawołał pytający z radością.—A toć tak miło spotkać spółrodaka!.. Ale cóż to pan mówi o obiedzie o siódméj...

— Będziem jedli o siódméj obiad... powtórzyłem dobitnie.

— Chyba wieczerzę...—podchwycił ksiądz— któż o siódméj jada obiad!..

— Taki w ucywilizowanym świecie zwyczaj...

I z tego wywiązała się rozmowa o zwyczajach, o cywilizacji i o różnych różnościach, która ugrupowała nas w towarzystwo wzajemnego ratunku od podróżnych dolegliwości, napadających wędrowca (zwłaszcza na pokładzie pocztowego statku) pod rozmaitemi postaciami.

Od towarzyszy swoich dowiedziałem się, że i oni jak ów przed piętnastu laty turysta, puścili się w świat, nie znając zachodniéj mowy.

— Jakże sobie radzicie?.. zapytałem.

— W ostatecznym razie po łacinie, ale najczęściéj Opatrzność zsyła nam kogoś, co nas rozumie... Ot i tu mamy tłumacza...

— Mnie?..

— Nie: jakiegoś pana mówiącego po polsku. Oto, tego...

Właśnie w téj chwili, mimo ławeczki, na któréj siedzieliśmy, przechodził jakiś jegomość dobréj tuszy, gęstego zarostu i czerwony na twarzy. Zatrzymał się i z pierwszych wymówionych przez niego wyrazów, poznałem w nim słowaka kiepsko mówiącego. Księża mi go przedstawili:

— Pan mówisz po polsku...—rzekłem dla tego, żeby coś powiedzieć.

— O! doskonale...— odpowiedział najokropniéj łamaną polszczyzną— Jakże nie miałbym mówić, znając tylu polaków...

— Dużo... Znam...

I wymienił moje własne imię i nazwisko.

— Kogo?..— zapytałem; patrząc mu w oczy.

Węgier powtórzył moje imię i nazwisko, z dodatkiem przywiązanego do nich tytułu i kilka szczegółów z mego życia, które mnie przekonywały, że człowieka nie mego nazwiska, ale mnie samego spotkał zaszczyt być jego znajomym.

— Pan go zna?..—zapytałem jeszcze dla dokładniejszego przekonania się.

— O, znam... Może i pan go zna?..

— Trochę... zdaleka... z widzenia... — odrzekłem.

— A ja doskonale... Jestem z nim w przyjaźni.. Byliśmy z sobą bardzo dobrze....

— Cóż to za człowiek?..

— Nie zły... tylko czasem lubi pałkę zalać...

Tylko com nie krzyknął, jak Panie Kochanku, gdy mu jakiś szlachcic rozpowiadał, że będąc w niebie, widział jak dziadek książęcy świnie pasł Radziwiłłowskie „łżesz!” wisiało mi na języku. Powstrzymałem się jednakże, bo ciekawa szczególność, spotkania podobnego znajomego na wodach morza Śródziemnego, pohamowała oburzenie, jakie we mnie ten niesłuszny zarzut wywołał. Od czasu bowiem, jak wyszedłem z uniwersytetu, ani razu się nie upiłem: a w uniwersytecie byłem pijany wszystkiego dwa razy. Z tego przeto, co się przed dwoma dziesiątkami lat przytrafiło, nie można było urobić zdania: „czasem lubi pałkę zalać.” Węgier snadź, który może z olejkami był w Polsce i z pomiędzy wielu nazwisk, jakie mu się o uszy obijały, moje zapamiątał, po sobie o mnie sądził. Mocnym fioletowym kolorem okraczony jego nos, świadczył, że nie ma zwyczaju za kołnierz wylewać.

Bądź co bądź, ciekawa ta znajomość posłużyła mi wybornie do przepędzenia i skrócenia czasu. Księża wyladowali w Civitta-Vecchia. Węgier powstał i wciąż opowiadał mi, to o mnie to o sobie, otaczając swoją grubą postać, aureolą wielkich czynów spełnionych, tylko światu nieznanych. To mnie bawiło, i nawet pozwoliło dobrze zasnąć w nocy, która pomiędzy Civita-Vecchia a Neapolem upłynęła.

Jednakże, kiedy statek, równo ze wschodem słońca, zawijał do portu, byłem już na pokładzie, i uzbrojony w doskonałe binokle, z niespokojnem biciem serca, badałem każdy przedmiot ukazujący się na lądzie.

Wschód słońca był tak piękny, jak tylko sobie wyobrazić można. Powoli, złote a wspaniałe, wytaczało się z po za Apeninów, wydobywając się z białawych obłoków, jak z pustego posłania, w którem rozkoszną przepędziło noc. Obłoki koronowały gór szczyty, obwijając je niby dym i spuszczając się zrazu tak nizko, że w nich tonęły spiętrzone w amfiteatr nad Neapolem wierzchołki. Dym ten zwolna uciekał do góry, coraz wyżéj i wyżéj i odsłaniał widoki. Odsłanianie to, przyrównaćby się dało do powolnego zdejmowania gazowego kwefu z prześlicznéj kobiety, gdyby to, co się z za porankowych wychylało obłoków, było rzeczywiście prześlicznem.

Neapol, daleko piękniejszym wydaje się na płótnie, na kartonie, na fotograficznéj blaszce niż w rzeczywistości, chociaż i o rzeczywistości nie można powiedzieć, ażeby jéj było wiele do zarzucenia. Nawet, gdyby mnie kto o zarzuty zapytał, byłbym zaambarasowany, jaką dać odpowiedź. Położenie nad zatoką miasta, wspinającego się pałacami na góry, a ubranego we wszystko czego wymagają warunki pejzażowéj perspektywy, jest niezaprzeczenie pięknem. Tylko reputacja, jaką téj piękności zrobiono, sprawia jakieś trudne do wytłumaczenia niezadowolenie. Czujesz, że jesteś w kraju *gdzie cytryny kwitną;* wiesz, że jesteś w miejscu uznanem za najrozkoszniejsze, i za temi pałacami na pochyłości góry rozsypanemi; za temi siwemi murami zamków, szmaragdowemi żyłami powojów ostrumienionemi; za temi kolumnami, kolumnadami, arkadami, wieżami, bramami, drogami; za temi sztywnemi łomaniami linji prostych, połączonych harmonijnie z najrozkoszniejszemi zagięciami łuków; za temi rzutami płaszczyzn, pionowych poprzecinanych ukośnemi; za temi bokami rozpadającemi się w nagie szczeliny zamarszczone niby brwiami, porostem bluszczów; za temi kobiercowemi łąk girlandami, bukietami i kniejami drzew, zadumanych nad miastem, kąpiącem stopy, w przezroczystym krysztale morza; za temi wszystkiemi urokami, szuka się jeszcze czegoś... czegoś niedostającego téj zdetronizowanéj stolicy. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

DWAJ BRACIA.

(Dokończenie.—patrz N. 19).

Domyśliliście się bezwątpienia czytelnicy, że ze starcem rozmawiał drugi syn jego, nasz poczciwy i szlachetny Antoś, którego zimny biuralista nie znał wcale!

Przywitawszy się z ojcem, który chłodno go przyjął, jako ugrzeczniony kawaler, zwrócił się nagle do Antosia i szybko powiedział: Przepraszam pana, że go niepokoję; powiedziano mi, że tu znaleźć mogę mego ojca, który jak widzę, przy panu na zawsze zamieszkał.

Antoś milczał, bo poznał brata: zresztą znał go dobrze, tylko że pan Franciszek wiedzieć o nim nie chciał. Słowo to „pan” dziwnie brzmiało Antosiowi w ustach rodzonego brata; dusza jego wzdrygnęła się na takie zesromocenie związków rodzinnych, na taki grzech okrutny. Wczoraj jeszcze ojciec rodzony nie znał go—swego syna, o którego nie dbał; onegdaj syn własny wstydził się ojca; dzisiaj brat w bracie, obcego widzi człowieka: takie okrutne spaczenie świętych i najmilszych obowiązków, wydało się Antosiowi niesłychanem świętokradztwem; głowę opuścił i milczał. Ale starzec za to podniósł się z siedzenia, a gdy się podnosił, na ramieniu młodszego syna oparty, czoło jego zafalowało gniewem, włos siwy, jakoby podniósł się i nastrzępił, oczy zajaśniały płomieniem niepowściągnionego uniesienia, usta drgały... wyprostował się powoli, zmógł ramieniem zgrzybiałem i jak dąb świszczący śród wichru i burzy zawołał:



Przywitawszy się z ojcem, który go chłodno przyjął...—(str. 164, szp. 1).
(Rysował Tegazzo—wyciął na drzewie Szymborski).

„Byłem ojcem niesprawiedliwym czy rozumiesz dziecko, czy rozumiesz zimny kamieniu, co to jest przyznać się zgrzybiałemu starcowi, że był ojcem niesprawiedliwym! Ale tak było! tak było! Niesprawiedliwość moja poświęciła tobie jednemu wszystkie uczucia ojcowskie, dla ciebie jednego tylko byłem ojcem!... A ten... a ten wspaniały syn mój, nic prócz zapomnienia i pogardy nie doświadczył odemnie! Sądziłem w zaślepieniu, że ty mi przywiązanie moje do ciebie wynagrodzisz, pyszniłem się tobą, biłem się i drapałem się za ciebie jak zwierz, zasypiałem z myślą o tobie. I dziś!... tyś mną pogardził... i dziś! ten zapomniany sierota, ten pogardzony przezemnie—ten *pan!* ten brat twój! którego nie znasz, przytula mnie do siebie. Ale to szczęście nie dla mnie... czuję nad głową—tu nad tą siwizną moją wiszącą karę Bożą..... nie zasłużyłem na to szczęście, i prędzéj może nim się obejrzymy dosięgnie nas ona... dosięgnie!!”

Z płaczem już wyjęczał starzec to ostatnie słowo boleści. W skromnéj stancyjce znowu nastała cisza, któréj nikt przerwać nie śmiał. Antoś tylko uspokajał ojca, który go bezprzytomnie prawie za szyję ściskał, całując. Nad głową zimnego Franciszka, głos ojca przebrzmiał jak burza, jak grzmot i piorun nad trwożnym głupcem, który się zlęknie i przerazi, ale potęgi piorunu nie pojmie, ale głosu Boga w nim nie dopatrzy. Stał ze spuszczonemi rękami, i nie wiedział co robić ze sobą. Czuł prawda wstyd niejaki, ale przez chłód i długoletnie zobojętnienie do rodziny, spodlała w nim dusza do tego stopnia,

że myślał o tem tylko, by jak najśpieszniéj tak *nieprzyjemne* miejsce opuścić. Pomówiwszy więc chwilkę obojętnie, pożegnał ich i wyszedł obcierając się na schodach z potu, który grubemi kroplami spływał po jego twarzy.



Madonna Sykstyńska, Rafaela.—(Wycięto w drzeworytni Heibelgera w Sztutgardzie).

Łatwo domyślicie się, kochani czytelnicy, że starzec, doznawszy tak okrutnego zawodu od starszego syna, w rozpaczy, przypomniał sobie młodszego i do niego się udał. Szedł tam zawstydzony, niepewny; zdradzony przez jedno swe dziecko, nie dziwże i drugiemu nie ufał. Błąd całego jego życia, stanął mu w żywych barwach przed oczy; postanowił go więc naprawić, i Antosia do zbolałego serca przycisnąć. Antoś przyjął go ze łzami radości, które wkrótce zamieniły się na łzy smutku, gdy ujrzał ojca tak zmienionym i starym, jak nigdy sobie nie wyobrażał, pomnąc owego dumnego i ruchliwego dawniéj pana Michała.

Nie będziemy opisywali rozmowy ich i wzajemnego wylania. Dość, że po kilku godzinach pobytu

u syna, pan Michał odżył na krótko, i takim zastaliśmy go w chwili odwiedzin Franciszka. Ale niepodobna nam pominąć najpierwszego przedmiotu stokrotnych i gorących zapytań Antosia—jego matki. Tu dopiero otworzyło się złote i szlachetne serce ukochanego syna; wywiadywał się on o najdrobniejsze szczegóły jéj życia, bytu, potrzeb i wszystkiego tego, co obchodzi prawdziwie kochającego syna. I mówił do ojca, że nieby mu tak drogiem nie było, jak połączenie się z matką na zawsze. Wtedy starzec zadumawszy się, cicho odpowiadał:

Może prędzéj niż sądzisz spełni się twe życzenie; mnie się już niewiele na tym świecie należy; któżby więc miał być jéj opiekunem, jak nie ty?

Antoś jak mógł pocieszał strapionego ojca, którego niemniéj dojmowała tocząca się w sądach sprawa o pobicie. Pan Michał, przeżywszy lat zgóra sześćdziesiąt, dziś dopiero żałować począł tak długich lat zmarnowanych na niczem i dumał sobie: „Czemże ja byłem, czem dziś jestem! zdradziło mnie własne dziecko, i drugi syn pogardzony zawstydza mnie prawością, rozsądkiem i przywiązaniem; im więcéj okazuje mi serdeczności tem mocniéj cierpię. Ha! ale już zapóźno... życie minęło nędznie w kłótniach i procesach—żal się tylko pozostał.” I tak ciągle snuł myśli zabijające, z których go dopiero Antoś troskliwy obudzał.

Ponure przeczucia starca nie myliły go. Sprawa w sądzie wzięła obrót niepomyślny; świadków było wielu, krzywda wyrządzona jednemu z sąsiadów nadto widoczna, aby mu dobrze wróżyć miała; trapił się więc bardzo i tylu różnorodnemi wrażeniami skołatany, widocznie i szybko na zdrowiu upadać zaczął. Nareszcie długo grożący wyrok zapadł, a pana Michała skazano na odsiedzenie kilku miesięcy w wieży. Przemieszkując ciągle u syna i przypatrując się bogobojnemu, cnotliwemu życiu jego, tak go pokochał, tak się doń przywiązał, miłość jego była tak wielka, takim świętym gorzała w gasnącem jego oku promieniem, że drżał na samę myśl rozłączenia się z synem. Gwałtowna jego natura, wysilona na to ostatnie święte uczucie, taką nadawała cenę temu nowemu życiu jego, w którem niewypowiedzianych doznawał rozkoszy, że z dziecinniał nawet trochę. Jak rozbitek w bezpiecznéj przystani po nieszczęśliwéj i długiéj żegludze, jak podróżnik od północnych mrozów skostniały, prostuje swe członki, przy wesoło trzaskającym ogniu, zapomina o wszystkiem co go otacza, wyciąga zesztywniałe dłonie ku ożywczemu ciepłu, niepomny na przyszłość, na świat i ludzi w téj chwili odrodzenia; tak i starzec, ten po długich latach burzliwych, dostrzegł nagle, jak praca rozpromienia życie, jak w małem kółku życzliwych i z jak małemi zasobami sprowadza możliwe szczęście na ziemi: chwycił się więc tego obrazu całą swoją duszą, oddał mu się cały, a serdeczna twarz syna była tym ogniem ożywczego ciepła, była tem słońcem, na około którego wszystko a wszystko co obchodzić mogło starca, przesuwało się w barwach tęczowych ostatniego szczęścia przed grobem... Nie dziw zatem, że gdy mu ów groźny wyrok przeczytano, tak się nim przeraził, jak gdyby kto nad nim wieko trumienne rozpostarł. A on chciał żyć jeszcze, chciał się napawać szczęściem, jakie mu zapomniane dziecię jego zgotować miało—zapóźno! Położył się w łóżko, majacząc i wołając syna, który skronie jego w swoich rękach tulił. Zachorował na tyfus; mocna budowa jego podkopana tylu, jak już powiedzieliśmy, wrażeniami, wzburzyła się, a krew nowemi siły nie podsycana, toczyła w jego piersi i skroniach bój ze śmiercią, która zbliżała się szybko. Słudzy sądowi zostawili starca na porękę syna. Tymczasem choroba wzmagała się;—po dniach kilku, pomimo rychléj i dzielnéj pomocy, żadnéj nie było już nadziei. Na kilka tylko chwil przed śmiercią, gdy go życie, gorączka i siły opuszczać zaczęły, ocknął się umierający, i przytomnym wzrokiem naokoło siebie potoczył, szukając syna, który stał nad nim i płakał. Raz jeszcze wyciągnęły się owe żylaste i suche dłonie, jak przedtem ku starszemu synowi, raz jeszcze ożywiło i rozmarszczyło się czoło, i raz jeszcze dla ostatniego uścisku miłości, przemówiło oko gasnące, a głos już tchnieniom ulatującego ducha nie powolny, cicho szeptał rozdzierające pożegnania. „O dziecię, drogie dziecię! tak chciałbym pożyć z tobą jeszcze choćby dzień jeden! Zapóźno, zapóźnom cię obaczył... cieszę się tylko z tego, że nie umrę tam w téj strasznéj celi więziennéj. Ty nie pozwolisz mnie wziąść od siebie Antosiu! Nie pozwól—nie! Tam u Boga ja modlić się będę za to o szczęście dla ciebie!” Tak ciągle wołał i ręce do syna wyciągał—tak skonał.

I Antoś też na tak krótką chwilę odzyskawszy ojca, i tak niespodzianie go znowu utraciwszy, uczuł mocno ten cios niespodziewany. Pamięć wszakże osamotnionéj matki, wzywała go do niéj z pociechą. Zebrawszy więc jak mógł swe rzeczy i uciułany zapasik pieniędzy, pojechał do rodzinnéj wioski. Każdy z was kochani czytelnicy, ma lub miał matkę; każdy więc, znając serce Antosia, łatwo sobie wystawi, jakiem było ich powitanie, i jaki smutek objęła, gdy im się smutną wiadomością o zgonie ojca podzielić przyszło. Ale Bóg czuwa nad nieszczęśliwemi i sierotami, Bóg na nikogo wiecznych cierpień nie zsyła; matka więc z synem we wzajemnéj ku sobie miłości czerpali pociechę, i myśleć zaczęli nad przyszłością swoją. Dom i dobytek przez ojca odłużone i niemocą jego w ostatnich latach podniszczone znacznie, nie dawały im rękojmi utrzymania się, tembardziéj, że Antoś gospodarować nie umiał, a brat starszy natychmiast po śmierci ojca, swojéj schedy się domagał, którą wkrótce spieniężył, nasławszy na cichy domek matki krzykliwych właścicieli. Wdowa i syn, widząc się ze wszech stron napadanemi i niepokojonemi, oddali kilka pozostałych zagonów w dzierżawę, i wyprowadzili się do Warszawy, gdzie Antoś znowu pracować zaczął, a urzeczywistniając dawne swoje marzenia, wszystkich sił dokładał, aby tylko matce wdowieństwo i smutek osłodzić. Bóg mu poszczęścił; żyją tak dotąd w łasce u Boga i u ludzi.

A pan Franciszek? Przeholował w swoich rachubach. Posunięty na posadę, na któréj obok znajomości rzeczy, potrzeba było koniecznie sumienności, zniszczył się i upadł. Dzisiaj bez stanowiska, wzgardzony od ludzi, sam jeden goni resztkami, przedstawia w sobie obraz nędzy fizycznéj i moralnéj, smutny przykład: że bez serca niema życia na świecie.

KRÓLOWA ŚWIĘTYCH,

(OBRAZ RAFAELA).

Bożym duchem ożywiony człowiek, miewa czasem chwile nadziemskiéj rozkoszy, chwile takiéj szczęśliwości, iż mu się zdaje, że całą duszą do

Nieba ulata i tam, przed tronem Boga anielskiéj słucha harmonji. Te święte chwile przychodzą wówczas, gdy miłością przepełnione serce, z żywą wiarą się złączy i snuje z swéj głębi piękne myśli i obrazy, wzniosłe melodje lub urocze, wspaniałe postacie. Duch człowieczy tworzy czasem coś widomego w takich chwilach, i wtedy zostaje na jego utworach cecha Bożego natchnienia. Wyższą wolą prowadzony pieśniarz, układa wyrazy w szeregi zwrotek, w pieśni i poematy; muzyk wiąże tony we wzniosłe, porywające melodje; malarz rysuje urocze postacie i prawdziwie Bożym ożywia je duchem.

Tym sposobem, powstają między ludźmi kapłani sztuk pięknych. Ich zadaniem jest podnosić uczucie ludzkie ku tym czystym i niedojrzanym przestworzom piękna, gdzie człowiek czystszym i szlachetniejszym się staje. Jakoż działając tylko na zmysły człowieka, wypełniają oni to wielkie zadanie. Człowiek, ujrzawszy lub usłyszawszy jakie ich dzieło natchnione, czuje się objaśnionym jakby słońca promieniami, odgaduje myśl wyższą, która, jak perła w muszli w dziele jest zawartą i otacza czcią i podziwem twórcę, który o tyle wyżéj nad poziom zwykłych ludzi, swym duchem wznieść się zdołał.

Serce ludzkie jest jak lutnia, na któréj Bóg struny niezliczonych uczuć nawiązał. Więc każde z tych silnych uczuć, objawiają ludzkości natchnieni kapłani. Miłość kobiety, miłość ojczyzny, miłość cnoty; to wszystko uwieńczają wzniosłemi dziełami mistrzowie tonu, słowa i pędzla. I nie masz szlachetnego uczucia, któregoby te wielkie serca nie poczęły, któregoby te wielkie duchy nie objawiły.

Wszystkie uczucia, objawiane przez natchnionych mistrzów, są wielkie; lecz największem ze wszystkich jest miłość Boga. I czyż mogło być inaczéj? Czyż uczucie, wznoszące się ku Stwórcy, ku owéj Potędze, która nas wszystkich i wszelką naszą miłość wydała, mogło być słabsze od innych? Nie! To uczucie musiało być najżywsze, najpotężniejsze! Mistrzowie, wznosząc się miłością ku Bogu, widzieli Go na tronie Wszechmocy, śród niezliczonych chórów Anielskich, z Synem i Duchem Świętym; z Matką Chrystusa i z niedojrzanym zastępem Świętych i Męczenników... Cóż dziwnego, że mistrze padali na twarz przed takim widokiem, a jeżeli serce ich wówczas przemówiło, to przemawiało z całą potęgą swych uczuć religijnych, z najwyższym podziwem, z największą czcią i miłością. Tym sposobem stało się, iż muzyka religijna była największą z muzyk, poezja religijna najwznioślejszą z poematów, malarstwo religijne, takiem jak w powyższym obrazie Rafaela.

Arcydzieła treści religijnéj, mogły się pojawiać tylko w takich czasach, gdzie ludzie byli istotnie religijni, gdzie serca wszystkich stanów, żywą wiarą były przepełnione. Dzisiaj, gdy wiara nie na jednym punkcie jest zachwianą, nie pojawiają się już tacy mistrze jak: Stradella, Dante, Rafael. Jakoż i obraz, którego odbicie powyżéj podajemy, nie jest dziełem naszego wieku; owszem, od chwili, gdy go wymalowano, minęło już przeszło lat 300.

Wspomnieliśmy już, iż twórcą tego obrazu, jest malarz włoski, Rafael. Należy się tu więc krótkie wspomnienie temu mistrzowi pędzla.

Rafael Sancio urodził się w Wielki piątek (d. 28 marca) roku 1483 we Włoszech, w mieście Urbino; dziwnem zrządzeniem nieba, zmarł także w Wielki piątek (6 kwietnia) 1520 w Rzymie. A stała wówczas sztuka malarska we Włoszech na bardzo wysokim stopniu, i żyło bardzo wielu równoczesnych Rafaelowi sławnych mistrzów, od których on naukę pobierał. Obdarzony atoli od najmłodszych lat niepospolitą zdatnością do pędzla, prześcignął wnet Rafael swych nauczycieli i wszytkich sławnych malarzów i stał się mistrzem nad mistrze. W licznych dziełach podziwia świat dzisiejszy jego religijne natchnienie; pokoje Watykanu, pałacu papiezkiego w Rzymie, są utworami jego pędzla przyozdobione; w najsłynniejszych zbiorach Włoch, Francji, Anglji, Niemiec, wiszą na pierwszem miejscu jego obrazy.

Najsławniejszem i najwznioślejszym utworem Rafaela, jest obraz Matki Bożéj, tak zwana „Madonna Sykstyńska,” któréj wizerunek powyżéj podajemy. Malował go Rafael, około roku 1508, będąc w sile wieku, to jest w chwili, gdy uczucia jego były najpełniejsze, duch najsilniejszym. Jakoż Madonna Sykstyńska dziwne wywiera na ludziach wrażenie; zrazu zdaje im się, że to jest obraz jak tysiące innych; lecz gdy się dłużéj przypatrują, to zaczynają uczuwać, iż ich coś do tych niebiańskich postaci pociąga. Odtąd zaczyna się wrażenie potęgować: czem bardziéj się przyglądasz, tem trudniéj ci się oderwać od obrazu, a gdy przecież w końcu odejdziesz, to stoi on jeszcze długo przed oczyma twéj duszy. Długi czas, nie wiesz w czem leży urok tego kawałka zamalowanego płótna; po głębszem dopiero zastanowieniu się poznasz, iż cię nie pociągają figury same przez się lub farby, lecz pociąga cię wyższa myśl w tych figurach i farbach, z niepospolitą prawdą i natchnieniem oddana.

Patrzcie długo i uważnie w obraz. Oto na obłokach, któremi gdzieś nasz padoł płaczu zakryty, unosi się Królowa Niebios z Bogiem Synem; na rękach Jéj szata powiewa zlekka; jak rozpięte skrzydła, w głębi otacza Ją wieńcem chór prześlicznych twarzyczek anielskich, a u dołu spoczywają dwa aniołki i sparłszy twarzyczki na drobnych rączętach, spozierają ku swéj Królowéj, pełni niemego podziwu i bezwładnego zachwycenia. Po prawéj stronie Przenajświętszéj Panny, na niższéj części obłoków, klęczy S-ty Sykstus, papież, i widać, że z głębokiem przejęciem poleca cały ród ludzki opiekuńczemu, najlitościwszemu Jéj sercu; po lewéj stronie uklękła święta Barbara, a w twarzy jéj przebija się pełna pokory szczęśliwość, którą jéj serce w skutek tak poufałego zbliżenia się do Matki Bożéj, do głębi jest przeniknione. W górze nad tem wszystkiem, rozsunięta jést zasłona, jakby owa zasłona błękitu, która śmiertelnemu oku niewypowiedzianą błogość rozkoszy niebiańskich zakrywa, i tylko czasem w chwili wzniosłego natchnienia, przed duszą człowieczą się rozchyla. Lecz całą tę harmonję, przewyższa harmonja bijąca z oblicza Przenajświętszéj Panny. Patrz, jak tam przeczysta dusza dziewicza, miesza się z niewypowiedzianą troskliwością Matki, która wiedząc, że piastuje wcielonego Boga, Zbawienie świata, stara się jak najłagodniéj dziecię swę obejmować i tulić do łona. Obok tego, rozlewa się w całem obliczu Boska nieskończona miłość, dla rodu ludzkiego. I patrzy teraz na dzieciątko Jezus; twarzyczka Jego nie ziemskim promieni się urokiem, bo zna ono swe Boskie pochodzenie i męki swoje przeczuwa. Duch świętości bijący z obu tych twarzy, zadziwia oko ludzkie. I ztąd to są oba te oblicza piękniejsze niż wszystkie ziemskie, nigdy i nigdzie w życiu nie widziane, szlachetniejsze, wznioślejsze, Boskie; ztądto,

jest ta Matka Boska, więcéj niż Opiekunką i Orędowniczką ludzi, bo jest Królową Nieba, Królową Aniołów, Królową Świętych.

Takie niebiańskie postacie, mógł tylko stworzyć człowiek przepełniony czystą a żywą wiarą, człowiek wielkiego natchnienia, wielkiego serca i wzniosłéj duszy. Takim właśnie człowiekiem był Rafael. Współcześni przedstawiają go jako mistrza, którego serce zdobiły: niewymowna słodycz, miłość i cnota—którego duch objawiał się wzniosłemi myślami, wielką szlachetnością i sprawiedliwością.

Madonna Sykstyńska jest obrazem wielkich rozmiarów, malowanym na płótnie. Dziewięć stóp i trzy cale wynosi wysokość, a siedm stóp szerokość tego obrazu, który obecnie znajduje się w galerji obrazów w Dreznie, stolicy Saksonji. Oto krótka historja tego obrazu.

Gdy August III-ci książę Saksonji, a późniejszy król Polski, odbywał podróż po Włoszech, przybył także do miasta Piacency. Zwiedzając tam klasztor S-go Sykstusa, znalazł książe w głównym ołtarzu Madonnę Rafaela, i został tak jéj pięknością olśniony, że postanowił nabyć to arcydzieło, choćby za skarby królewskie. Postanowienie to przyszło wistocie do skutku, lecz dopiero we dwadzieścia lat późniéj, wówczas, gdy August zasiadał już na Polskim tronie. Było to w roku 1753. Z polecenia królewskiego, kazał malarz włoski Cezar Giovanini zdjąć kopję z Madonny Sykstyńskiéj dla klasztoru, sam zaś obraz oryginalny kupił za ogromną summę, dwudziestu tysięcy dukatów i wysłał go do Drezna.

Z niecierpliwością oczekiwano w Dreznie Rafaelowskiego arcydzieła. Po wielu, wielu dniach przybyło ono nareszcie. Uradowany król polecił natychmiast obraz rozpakować i wstawić go w tronowéj sali. Wszyscy z bijącem sercem, oczekiwali ukazania się Madonny; lecz w tem pokazało się, że chcąc ją w dobrem ustawić świetle, trzebaby tron z miejsca usunąć. Wówczas to, spostrzegłszy zakłopotanie służby, odepchnął August III-ci własnoręcznie tron na bok i rzekł: Miejsce dla wielkiego Rafaela!

Był to wykrzyknik prawdziwie królewski.

Madonna Sykstyńska pozostaje odtąd w galerji drezdeńskiéj, i jest podziwem wszystkich szlachetnych umysłów. Z najodleglejszych miejsc przybywają ludzie, aby się widokiem jéj napoić, aby się oczyścić i podnieść na duchu pośród promieni téj nieskończonéj miłości, która połyskuje w obrazie. I jak długo tylko ludzkość będzie pragnąć piękna i wzniosłych wrażeń, tak długo nie zabraknie widzów i czcicieli Sykstyńskiéj Madonnie, tak długo przechowywać się będzie wdzięczna pamięć, dla wielkiego mistrza pędzla—dla Rafaela!

SZALÉJ.

Wszelkie rośliny, jakie znajdujemy na tym ogromnym świecie, mają bezwątpienia swoje właściwe pożyteczne przeznaczenie. Jest jednakże wiele jeszcze takich roślin, których właściwego użytku dotąd ludzie nie poznali całkowicie. Do téj liczby nie poznanych pod względem pożytecznego użycia, a raczéj tylko szkodliwego, zalicza się *szaléj* inaczéj zwany *lulkiem*, a gdzieniegdzie blekotem. Rośnie on zwykle pod płotami, na miedzach, w ogrodach i na pastwiskach. Roślina ta, osobliwie lubi grunt gliniasty; zwykle kwitnie w czerwcu, a we wrześniu wydaje już nasionka dojrzałe, podobne do maku. Rośnie w miarę dobroci ziemi, mniéj lub więcéj rozsochato; liście ma jajowato podłużne, jak to widzicie na przedstawionym rysunku, na którym po lewéj stronie u dołu pod literą *a*, dla dania wyraźniejszego pojęcia o składzie kwiatu, woybrażamy go osobno; pod literką zaś *b*, przedstawiamy sam środek kwiatu zwany kielichem, ale to już po czasie okwitnienia, kiedy się ma zawiązać nasienie. Kwiat ten za ujęciem, okazuje się lepkim, a zapach jego nieprzyjemny, jest jeszcze i bardzo szkodliwy.



Szaléj.
(Wycięto w drzew. Alfreda Mame w Tours we Francji).

Szaléj w ogóle zalicza się też dotąd głównie do roślin więcéj szkodliwych aniżeli użytecznych. Ludzie po zjedzeniu drobniuchnych nasion, dostają zwykle zawrotu głowy, a wrazie użycia większéj ilości, wpadają w szaleństwo, które kończy się śmiercią. Zwierzęta, po spożyciu korzeni lub nasion tego ziela, popadają w odurzenie, taczają się jak pijane, włócząc za sobą chwiejące się nogi tylne.

Utrzymują wprawdzie niektórzy, że roślina ta ma być pomocną na powstrzymanie bólu zębów, a w razie takim, ma się jéj używać w sposób następujący: Najpierw rozżarza się węgle drzewne, a wziąwszy pewną ilość liści szaleju, rzuca się je na węgle, potem, po nad powstałą parą, z palących się liści, trzyma się rozwarte usta w takiem położeniu, iżby para dochodziła wprost do zbolałego zęba. Po takim naparzeniu, ból ma niezadługo ustawać, a zdaje się że dzieje się to skutkiem odurzenia, gdyż roślina ta posiada własności opjum, które również na ból zębów choć w inny sposób zalecają lekarze.

Ten nie wielki pożytek szaleju, a większa nieporównanie szkodliwość, przemawia za wyniszczeniem tego zielska; co też łatwo da się uskutecznić, wycinając przez lat kilka wyrosłe młode łodygi, jeszcze przed okwitnięciem, co się też wszystkim zaleca.

Do dzisiejszego Numeru *Opiekuna Domowego*, dołącza się prospekt na pismo mające wychodzić, pod tytułem *Kurjer Codzienny*.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 12 (24) Maja 1865 r.